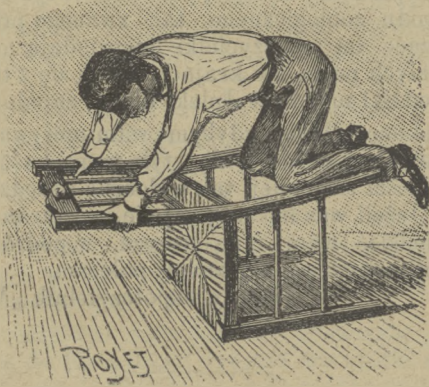




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



ZABAWKI NAUKOWE.

Trzeba położyć krzesło w ten sposób, żeby przód jego spoczywał na podłodze, tylne zaś nogi i poręcz znajdowały się w horyzontalnej płaszczyźnie, jak przedstawia górny ry-

sunek, potem poprosić kogoś, żeby ukląkł na wiązadle tylnem i wziął w usta kawałek cukru, leżący na skraju poręczy.

Jeżeli osoba, której to zaproponowano wie co to środek ciężkości i jaką rolę on odgrywa w równowadze ciała, to uklęknie w ten sposób, że ów środek znajdzie się poza siedzeniem z tyłu i z łatwością wykona co się od niej wymagało.

W przeciwnym razie wysunie się zanadto ku poręczy, środek ciężkości więc przypadnie ku przodowi siedzenia. Krzesło natychmiast się przewróci i kawałek cukru spadnie na ziemię.

Trzeba zawsze pamiętać o tem, że każdy przedmiot wtedy tylko może stać, kiedy jego środek ciężkości nie wychodzi poza podstawę.

LIST JÓZIA.

Kochani czytelnicy Wieczorów! Wiadomo wam już z listu siostry mojej Gołąbki, że podczas tegorocznych wakacyj odbyłem podróż do Anglii, ale czego wypowiedzieć wam nie mogła Gołąbka, to zadziwienia i radości które mnie ogarnęły, gdym się dowiedział, gdzie mianowicie pojedę! Nigdy w życiu nie marzyłem o czemś podobnem! Wiedziałem, że mamy krewnych we Francji, że jedna z owych nieznanach mi kuzynek wyszła za mąż do Anglii, ale na myśl mi nawet nie przyszło, abym ja pierwszy ją odwiedził. A jednak tak się stało! Bez wiedzy mojej uknuto na mnie ten spisek i w pewien skwarny, duszny dzień czerwcowy, gdym znużony gorącem i ostatnim (pomyślnie zdany) egzaminem; powrócił do domu na obiad, powiada mi mama niespodzianie: „Józiu, wuj Adam zabierze cię z sobą do Anglii.” Zdębiałem (używam tego wyrazu na oznaczenie najwyższego stopnia zdziwienia) na te słowa, a mama mówi dalej tak spokojnie, jakby chodziło o wycieczkę do Zakopanego. „Jużes my ci wyrobili paszport, bieliznę i wszystko co do podróży potrzebne masz gotowe, jutro wieczorem możesz wyjechać“

wyjechać". Ach, ta mama! Zawsze jak komu robi niespodziankę to z taką miną, jakby to było coś najwzyczajniejszego. Naturalnie, wycalowałem mamę i siostry, obleciałem kolegów, wśród których byli tacy, co mi wierzyć nie chcieli, że aż do Anglii jadę, zapakowałem cenzurę (na wypadek spotkania z jakim uczniem szkół angielskich) słownik angielski włożyłem do kieszeni i ruszyliśmy z wujem Adamem na Wiedeń do Paryża. Wspaniałe to stolice, lecz opisywać wam ich nie będę, bo choć ich kto nie widział, to dużo czytał o nich, nawet o ile pamiętam, opisywano nieraz w Wieczorach rozmaite ich osobliwości. Oglądałem je z podziwem i z ciekawością, lecz dopiero prawdziwie silne wrażenie wywarł na mnie Londyn, zupełnie do nich niepodobny. Przybyliśmy tam w końcu czerwca, kiedy z powodu odbywających się posiedzeń Parlamentu zjeżdża się cały świat wielki i karnawałuje wesoło, ale że wuj Adam znajomych tu nie miał, nie braliśmy więc żadnego udziału w ruchu towarzyskim. Ruch uliczny jak wszędzie tak i tu zmienia charakter stosownie do części miasta: w *City* — dzielnicy przemysłowo-handlowej, jest on widoczną pogonią za zyskiem, pracowity jest, żywy i poważny. W *West-End* przeciwnie, gdzie mieszka bogata, zabawom oddana ludność, ożywia się tylko w godzinach przejażdżek, wityt, i wtedy jest na co patrzeć. Suną szeregi wytwornych pojazdów zaprzęzonych końmi tak pięknymi, jakim podobnych nie widziałem jeszcze w życiu; w innych znowu alejach jadą konno gromadkami złożonymi z dwóch lub więcej osób panowie, panie, młodziutki panienki, siedzące na koniu z tą swobodą i wdziękiem, jakie daje nabyta od dzieciństwa wprawa. Oprócz *James Park'u* i *Regent's Park'u*, gdzie się najliczniej gromadzi świat wielki, zwiedzaliśmy także i *Kensington Park*, pełen osobliwych drzew i roślin zaaklimatyzowanych w Anglii dzięki umiejętym staraniom ogrodników-botaników, którzy go mają w opiece. Zauważyłem, że publiczność tego parku składa się przeważnie z dzieci, a trzeba znać dzieci angielskie, różowe, złotowłose, zdrowiem kwitnące, aby sobie wyobrazić słiczny widok jaki przedstawia taka gromadka, gdy otoczy niewysokie z plecionego drutu ogrodzenie, po za którym na zielonym aksamicie trawnika spaceruje całe stado pawów. Dzieci rzucają im pożywienie, z drobnych rączek sypią się okruchy ciast, kawałki chleba a pyszne ptaki, rozpuszczywszy barwiste ogony, migocą w słońcu jak klejnoty. Szczególniej zaś pięknymi są pawie białe, bo na tle srebrnej białości słicznie odbija szafir i szmaragd rozrzuconych na ogonie oczu, a wszystko to wyciąga kształtne szyje, piórami ogona trawnik zamiata i mieni się najżywszymi barwy. Nietylko ja, ale nawet wuj Adam oczu nie mógł oderwać od tego słicznego obrazka.

Inny wszakże czekał mnie jeszcze widok, mniej powabny dla oczu, lecz za to więcej do serca i do wyobraźni przemawiający.

Zwiedzaliśmy katedrę Westminsterską, stary, średniowieczny pommnik gotycki, którego mroczne wnętrze zdaje się napelniać cień przeszłości. Jest tam tak zwany „*Poet's-Corner*” (Kącik poetów) gdzie spoczywają prochy tych, co natchnioną pieśnią przemawiali. Zadumany stamtąd wyszedłem i czcią przejęty dla tej potęgi jaką jest ludzkie słowo, a nie ochłonałem jeszcze z wrażenia, gdy mi oglądać dano objawy potęgi czynu. Wystawa marynarki odbywająca się wtedy właśnie w Londynie stanowiła skończony obraz powstania rozwoju i obecnego stanu tej sztuki, która czyni Anglię tak silną. Pełno tu zajmujących okazów: łodzie, okręty żaglowe, parostatki, pancerniki, wszystko ma się rozumieć, w miniaturowych rozmiarach, ale wszystko tak wykończone, że o całej budowie można powziąć wyobrażenie jaknajdokładniejsze. Osobny dział stanowią pamiątki po sławnym Nelsonie, zwycięzcy z pod Abukir i Trafalgar: modele okrętów, którymi dowodził, lunety, których używał i t. p. przedmioty, a pomiędzy tem wszystkim znajdują się i obrazy przedstawiające jego zwycięstwa. Długo stałem wpatrzony w obrazy, w okręty, w armaty, bo nie tyle wszystko co z wojną, ile wszystko co z morzem ma związek, posiada dla mnie niewypowiedziany urok i nieraz żałuję, że nie mogę zostać

marynarzem. To mi dopiero życie, ruch, rozmaitość, przygody! Polubiłem tak morze gdym je pierwszy raz poznał w Sobotach; poznawszy tamtejszych rybaków polubiłem wszystkich „co prosto z kołyski idą się bujać na fale” — jak powiada stara piosenka angielska — i gdybym nie miał wytkniętej już przyszłości, chętnie puściłbym się w świat na jednym z tych wspaniałych okrętów wojennych, co to całe żelazem okuty jak średniowieczny rycerz a lekkie i szybkie w biegu, jak panna w tańcu. Ale co o tem marzyć, kiedy się to nigdy nie stanie.

Po wystawie marynarki przyszła kolej na wystawę akwarel, kwiatów, majolik, wyrobów z terra-kotty, bo jak już wspominałem, letnie miesiące są w Londynie porą najżywszego ruchu, prawdziwem żuivem dla wszystkich, którzy coś mają do sprzedania. Z dorocznego zjazdu korzystają także i różne zakłady publiczne dla zdania sprawy ze swej działalności: pomiędzy innymi szkółki ludowe w dzielnicy *Wast-End*, zamieszkałej przez najuboższą ludność. Szkółki takowe, po większej części utrzymywane i prowadzone przez ludzi dobrej woli, stoją pod opieką osób należących do najwyższej arystokracji czy to rodowej, czy finansowej. To też teraz kiedy zbierają się w stolicy wszyscy tych sfer przedstawiciele, biedne dzieciaki dobrze na tem wychodzą, bo możni opiekunowie urządzają dla nich zamiejskie wycieczki koleją żelazną, lub przejażdżki łódką po Tamizie, którym naturalnie towarzyszy uczta na świeżem powietrzu, a poprzedza je zawsze rozdanie pomiędzy dzieci odpowiedniej do pory roku odzieży. Świeżo i schludnie ubrane, wymyte, z gładko uplecionymi warkoczami lub ostrzyżoną czuprynką, rusza taka dzieciarnia pod opieką kilku dozorczyń na całodzienne używanie swobody i powietrza, a że go używa całym sercem o tem nie wątpię. Czasami znowu jakaś szkółka, kształcąca dziewczęta z ludu na bony, lub porządne służące, prowadzi swoje wychowanki do „*Zoo*” (ogrodu zoologicznego, tak zwanego przez skrócenie) a towarzyszące im nauczycielki opowiadają o zwierzętach, o zamieszkałych przez nie krajach, i robi się z tego *utile-dulci*, jakby powiedział mój brat Julek, filolog zapalony.

Nie skończyłbym, gdybym wam opisywać chciał wszystko, co widziałem w Londynie, tyle tu na każdym kroku śladów działalności rozumnej, tak widoczną wszędzie praca i pracowitość. Jeżeli was list mój zajmie, postaram się w następnym opowiedzieć wam inne jeszcze, w podróży pozbierane szczegóły, a teraz łasce się waszej polecam.

Wierny współczuycielnik „Wieczorów”.

Józio.

PRZED LAT TYSIĄCEM.

(Dalszy ciąg).

— Oszałałaś chyba kobieto, lub zapomniałaś, że senat na śmierć go skazał, a cesarz wyrok potwierdził! i ja mam ocalić Kwintusa!... jakim sposobem?

— To już twoja rzecz, ale powtarzam musisz to zrobić, bo jeśli nie zechcesz natenczas... natenczas... przysięgam ci Stefanusie! ja, w amfiteatrze, w obec tysięcy zgromadzonych widzów, w obec cesarza oskarżę cię o straszną zbrodnię, którą zdołałaś ukrywać przed światem, ale która mnie jest wiadomą oddawna i... będziesz zgubiony... Więc pomyśl, że ocalaając Kwintusa i siebie także ocalisz i chodźmy! Chodźmy czemprędzej obmyśleć środki do dopięcia naszego zamiaru...

Tymczasem Kwintusa, Kornelię, lutnistkę Euterpe jej męża Difillusa, konsula Flawiana Klemensa z małżonką i kilkusetu chrześcian z namertyńskiego więzienia przeniesiono do podziemi Flawijskiego amfiteatru, kędy znajdowały się zagrody dla dzikich zwierząt i lochy dla gladiatorów i skazańców.

Rozdzierające sceny odbyły się teraz w półmroku tego podziemia. Potworzyły się gromadki wspólnie odmawiające modlitwy. Kornelia i małżonka konsula, Flawia i kilku je-

szcze chrześcian, otoczyło ósmioletnią dziewczynkę, która skutkiem długiego zamknięcia w więzieniu śmiertelnej uległa chorobie. Ojciec jej ubogi rzemieślnik z Sabury, na rękach trzymał dziecinę spoglądającą błyszczącemi od gorączki oczyma.

— Nie płacz, drogi ojczulku — słodko szeptała dziewczynka. — Zabierze mię ten śliczny anioł z białemi skrzydłami, ten dobry anioł który tak często nawiedzał mnie w więzieniu, on mię już woła... Widzisz ojczulku, te szare wilgotne mury się otwierają i słoneczny blask tutaj wnika...

Błądą, szczupłą twarzą Cynthii ożywił uśmiech; zamknęła oczy, a po chwili otworzyła je jak gdyby w zachwyceniu...

Żegnaj cię ojczulku — szeptała z westchnieniem — żegnaj cię wszystkich, drodzy przyjaciele! Ja pierwsza idę do pięknych, wspaniałych niebios, gdzie spotkam ukochaną mateczkę, którą już dawniej pantera rozszarpała... Ojczulku! kiedy nadejdzie ta straszna godzina i serce twoje drżeć będzie z trwogi, myśl wtenczas o twojej Cynthii, myśl o mnie, a ja będę błagała Boga, żeby ci dał odwagę do końca... Ojczulku, dziękuję ci, żeś mnie nauczył kochać Zbawiciela!... a teraz do widzenia! do widzenia, niedługo!... Anioł już się zbliża... już mnie bierze na ręce... już mnie unosi... do nieba!... do nieba!...

Rączki Cynthii opadły bezwładne... Głęboko westchnęła a potem już leżała, biała, uśmiechnięta słodko, jakgdyby we śnie pograżona...

— Umarła! Bóg oszczędził biednemu dziecięciu męczarni... Módlmy się bracia! — rzekła Flawia klękając przy zwłokach Cynthii.

Nagle zagrzmiął dźwięk trąb, co było hasłem, że rozpoczynać się mają walki na arenie, następnie rozległy się ciężkie stapania. zgryźnięty rygle, pachołcy wyprowadzili najprzód lutnistkę Euterpe i Difillusa, później konsula z małżonką, później aż dwunastu chrześcian odrazu, wreszcie już tylko Kwintus Klaudyusz sam jeden w lochu pozostał ze swą narzeczoną.

— Zachowuj nas na ostatek — z bolesnem uśmiechem przemówiła Kornelia, Kwintus uściśnął jej rękę i szepnął: „odwagi!” Wreszcie i dla nich straszliwa godzina wybiła... Weszli na arenę.

Czy to wskutek słonecznych blasków, które olśniły ich w półmroku podziemia, czy wskutek wzruszeń Kwintus i Kornelia nie widzieli w około siebie nic, ani tysięcy widzów w amfiteatrze, ani cesarza i jego dworu.

Mistrz uroczytości wywołał ich nazwiska, a niewolnik jakiś zbliżył się do Kwintusa i wręczył mu krótki miecz.

— Uderz nim lwa! uderz, o ile można najprędzej! — szepnął ze szczególniejszym naciskiem, a gdy młodzieniec pytająco spojrział mu w oczy powtórzył:

— Jeśli pragniesz dla siebie i dla niej życia, tym mieczem uderz lwa!

Tymczasem przez niskie drzwiczki, olbrzymi lew o żółto-żółtej sierści i ogromnej czarnej grzywie spadającej mu na czoło wszedł na arenę.

Kornelia, nieruchoma, prawie bezprzytomna stała obok narzeczonego. Lew zbliżył się, podchodził z wolna, bijąc się po bokach ogonem... z otwartej paszczy płynęła mu ślina... był zgłodniały... pomrukiwał groźnie... pochylił się... przycałił... a potem gwałtownie skoczył ku Kwintusowi. Jednocześnie Kornelia krzyknęła wyciągając ręce. Ten krzyk dziewczyny powstrzymał lwa... stanął, spuścił łeb, a w tejsze chwili ruchem jak błyskawica szybkim Kwintus uderzył zwierzę mieczem zatapiając stalowe ostrze głęboko w jego łopatkę...

Zaledwie miecz wsunął się w cielsko lwa, wyprężył się i sztywny martwy runął na piasek. Oklaski widzów były tak liczne i gwałtowne, że ściany amfiteatru się trzęsły.

— Łaski dla Kwintusa Klaudyusza — wołało sto tysięcy głosów. — Cesarze, przebacz mu!

Ze zmarszczonem czołem, siedział Domicjan, na swym purpurowym tronie i potrząsał głową przecząco.

— Łaski dla Kwintusa Klaudyusza! łaski dla jego narzeczonej! — wołano coraz głośniej.

— Panie mój i małżonku — rzekła Domicja, pochylając głowę przed cesarzem — racz ułaskawić tych skazańców!

— Nie! — rzekł cesarz i skinął.

Oklaski i wołania ucichły.

— Rzymianie! — zawołał Domicjan — żądacie łaski dla człowieka, który sam dobrowolnie na śmierć się skazał. Wszak już raz przebaczyłem mu zbrodnię Nazaretanizmu. Jedno tylko słowo miał wyrzec i nie chciał... Jest nieugięty, a tembardziej godnym jest kary, że jest synem Jowiszowego arcykapłana, że był moim przyjacielem!

— Łaski dla Kwintusa Klaudyusza! — znów odezwały się głosy. Imperator znów majestatycznym gestem nakazał tłumom milczenie.

— Najchętniej stosuję się do życzeń moich kochanych Rzymian, o ile te ich życzenia spełnione być mogą. Teraz wszelako żądacie niepodobieństwa. Ułaskawić tego człowieka, jak już powiedziałem wam, nie mogę. Dzisiaj tylko uwalniam skazanego od dalszej walki. Niech odpocznie, a jeśli raz drugi i trzeci będzie jak dzisiaj zwyciężcą... ha!... wówczas, drodzy moi Rzymianie, skazańcy dla których macie tyle współczucia, będą ułaskawieni.

Po tych słowach cesarza, mistrz uroczytości kazał czerpędziej wyprowadzić z areny Kwintusa i Kornelię; poczem nastąpiła gonitwa trzynastoletniej dziewczynki, z malenieczkim karzelkiem, później popisywały się tancerki, mające lekkie, powiewne szaty, rozpuszczone włosy i motyle skrzydełka na ramionach, a zakończył przedstawienie sztuczny z wody różanej deszczyk, który ochłodził i orzeźwił widzów zmęczonych tyłu wrażeniami i upałem.

XXII.

Srebrzysty sierp księżyca wypłynął na czysty szafir firmamentu, kiedy Kwintusa i Kornelię, z Flawijskiego amfiteatru przeprowadzono do mamertyńskiego więzienia, gdzie wślad za nimi pojawił się ten sam niewolnik, który młodemu Klaudyuszowi, wręczył miecz na arenie przed walką.

— Z wyższego rozkazu ja dzisiaj zastępuję dozorcę — rzekł, spoglądając znacząco na Kwintusa. Będziecie wieczorząc dziś razem... razem z tą... panią — dodał ciszej i z kosa który przyniósł z sobą wydobywał rozmaite wiktuały: mięsiwa, biały chleb, owoce i amfory z winem.

— Tu jest najwyborniejsze falerno, pokrzepi was ono i doda sił do jutrzejszej walki — mówił cicho, umyślnie hałaśliwie rozstawiając przyniesione z sobą naczynia — czy myślisz panie, że lew dałby się tak odrazu, jednym pchnięciem zabić, jak baran. Miecz był zatruty... To zarządca cesarzowej Domicji, to Stefanus pragnie cię ocalić w ten sposób... On kazał cię prosić, abyś nie zapomniał o tem, skoro odzyskasz wolność dostojny panie.

— Nie zapominam oddanych mi przysług — skinął głową Kwintus, nalał czare falerna i podał ją narzeczonej, teraz dopiero spostrzegając że ramię Kornelii było krwią zbroczone. Zapewne drasnęła ją łapa rozjuszonego zwierza, lub też szorstka dłoń pachołków, którzy ich wprowadzali na arenę. Kwintus obmył zimną wodą, ramię dziewczyny i płatkami oderwanym z własnej togi obwiązał ranę. Kornelia uśmiechała się słodko, dziękując bardzo wdzięcznie, lecz zażławione jej oczy zdawały się pytać: „i po co to wszystko?... jutro o tej samej godzinie, już po nas, na tej ziemi zostanie tylko wspomnienie w sercach tych, którzy nas kochali!”

— Bóg nas nie opuści! Ufajmy mu ukochana! — szepnęła Kwintus odgadując myśli narzeczonej.

Po wieczery musieli się rozstać. Pachołek sprzątnął naczynia i resztki jedzenia zostawiając tylko amfory z falernem winem. Kobierec miękki rozciągnął na kamiennem łożu, pierw uprzątnąwszy zeń wilgotną i zgniałą słomę i pierwszy raz po wielu miesiącach kaźni, Kwintus na wygodniejszym spoczął posłaniu. Czuł ból we wszystkich członkach i niezwykła ogarnęła go niemoc, której nie był zdolny się oprzeć. Zadrzemał, a marzenia senne ustawicznie, ustawicznie

nie... bez końca powtarzały mu tę straszną scenę, kiedy z Kornelią u boku stał na arenie w obec stu tysięcy widzów i Domicyana .. Trzymał w ręce miecz zatruty, ale tym razem wymierzył cios niezręcznie. Rozwścieczony lew jednym skokiem był przy nim i straszliwe swe szpony zatopił mu w ciele, aż do kości... Leżał Kwintus na ziemi poraniony, broczący w krwi własnej... a tymczasem lew rozszarpał Kornelię, tę tkliwą, tę śliczną, tę jego ukochaną Kornelię... Widzowie klaskali szalenie, a on cierpiał... cierpiał bezmiernie...

— Kwintusie! Kwintusie! przemów do mnie, mój drogi biedny przyjacielu — mówił jakiś głos drżący ze wzruszenia, w kilka miesięcy potem nad łóżem chorego, który z trudnością podniósł ociężałe powieki i przy blasku pochodni rozświetlających ciemnicę więzienia, ujrzał pochylonego nad sobą Kajusa Aureliusza, a dalej ośmiu żołnierzy z lugduńskich legionów.

— Kwintusie! — wołał Batawczyk. — Co tak na mnie spoglądasz, jakby na marę z tamtego świata? To ja Kajus Aureliusz zwiastuję ci wolność!

— Kajus! — wyjąkał Kwintus — Kajus tutaj?... Mów! co się stało?

— Domicyanus nie żyje, a mądry, szlachetny i wspaniałomyślny Kokcejus Nerwa został obwołany cesarzem. Pretoriańskie kohorty z Norbanusem i Klaudyanusem na czele przysięgły już na wierność nowemu imperatorowi, który odwołać zamierza edykta przeciw Nazareńczykom, a tymczasem rozkazał ich uwolnić z więzień. Czy wiesz, że Korneliusz Cynna i ja, i wielu innych posądzonych o sprzyjanie chrześcijanom, musieliśmy zaraz po twojem uwięzieniu Romę opuścić, z obawy prześladowania? Dziś dopiero przybywamy wprost z Galii... I ty biedaku tak długi przeciąg czasu przebyłeś w więzieniu... I nic, nic nie pamiętasz co się z tobą działo, w ciągu minionych miesięcy?

Młodzieniec przecząco potrząsnął głową.

— Od owej walki z lwem na arenie, to jest od szóstego Kwietnia, do dziś dnia, a dziś mamy 15 wrzesień, na tem oto łóżu kamiennem przeleżałeś bezprzytomny.

— A Kornelia?

— Żyje i zdrowa, pozwolono jej czuwać nad tobą. Zaraz ją ujrzysz i pewitasz. O! biedny, drogi przyjacielu i któżby to wszystko przewidział, zeszłej jesieni, kiedyśmy się u Bai poznali?!.. Ale już teraz skończyły się wszystkie nasze nieszczęścia, a lepsze dni nam zaświtają.

Ta nadzieja dodała sił Kwintusowi, dźwignął się z łoża, Kajus Aureliusz owinał go płaszczem i za chwilę wsparty na ramię narzeczonej, opuścił loch mamertyńskiego więzienia. Gdy tak szli Kwintus i Kornelia w szatach pomiętych i poszarpanych, ona z rozpuszczonymi włosami, z tą dostojną powagą, która ich oboje zawsze znamionowała, oboje bledzi i oboje cudownie, idealnie piękni, a nieszczęścia ich i widok wzruszył nawet tych ogorzałych, szorstkich, lugduńskich wojaków, którzy ich eskortowali.

Pomimo opóźnionej godziny nocnej, na Forum i na ulicach Romy panował ruch ogromny. Oddział lugduńskich legionów stał u podnóża Palatyńskiego pagórka, a przeciągające tłumy ludu wydawały okrzyki:

— Niech żyje Nerwa! cesarz! ojciec ojczyzny! Niech żyje! Dumny dworzanie Domicyana, obecnie nowego imperatora przyboczny Klaudyanus, na białym koniu wciąż przejeżdżał wśród ciżby.

(d. n.)

NOCNA NIESPODZIANKA.

Wśród pustej okolicy Tasmanii, dwa wielkie ptaki, nazywane przez krajowców „maleo“, w dalekiej pielgrzymce, odbywanej celem odszukania spokojniejszego zakątka do

wychowywania potomstwa, zatrzymały się pewnego wieczora w szerokiej, głębokiej dolinie, otoczonej pasmem stromych wzgórz.

Były mocno strudzone całodzienną drogą i śliczne różowane ich piórka pokryła gruba warstwa pyłu. Pomimo to trzymały się dzielnie.

Niezwłocznie zajęły się obraniem miejsca bezpiecznego na nocleg; znalazły je wpośród wysokiej trawy; tuż przy rozłożystem drzewie eukaliptusowem.

— Ostrzegam was, moi państwo, iż zdala słyhać jakieś ponure odgłosy—rzekł wombat, stały mieszkaniec eukaliptusu.

— Nie obawiam się — odparł samiec dumnie — wiele niebezpieczeństw spotkało nas w drodze, a jednak potrafiłiśmy wyjść z nich cało.

Rzekłszy to, powrócił do swej towarzyszki i niebawem oboje smacznie zasypiali wśród miękiej, wonnej trawy.

Tymczasem groził im wróg srogi. Dwa wilki stepowe, przegowane, niby tygrysy, opuściwszy swą norę, położoną wpośród skał, skradały się chytrze węsząc zdobycz. Kangur, który niedawno skakał przez łąkę, wprowadził ich na ten ślad. Przed chwilą, przebiegł on tuż około śpiących ptaków, pragnąc ująć nieprzyjaciela, którego wycie rozlegało się za wzgórzami, lecz zniknął już w zaroślach.

Nocni rabusie, pełzając niepostrzeżenie, dotarli wreszcie do ptaków, nieprzezuwających losu, jaki ich oczekiwał.

Nagle, wśród nocy, rozległ się przeraźliwy krzyk trwogi i bólu. Samica, pochwycona zębami, zerwała się z wysiłkiem, lecz wilk nie puścił zdobyczy. Potężnym skokiem pochwycił ją w powietrzu i ściągnął brutalnie na ziemię.

Zbudzony walką samiec, otworzywszy swe okrągłe oczy, ujrzał towarzyszkę drgającą już tylko zlekką w paszczy napaśnika. Chciał śpieszyć jej na pomoc i uderzył swem silnem skrzydłem wilka; towarzysz tego ostatniego zatopił kły w obroncy.

Skulony w swej norze, nawpół nieżywy z przestachu wombat słyszał przez czas jakiś szamotanie, stłumione krzyki które jednak ucichły wkrótce. W dolinie zaległo ponure milczenie.

Kangur, który się schronił w zaroślach, dostrzegł przy świetle księżyca rabusiów, wlokących z radosnem mručeniem dwa wielkie ptaki.

Byli to oboje maleo.

Biedne ptaki znalazły okrutną śmierć, wtedy właśnie, kiedy miały zamiar założyć sobie gniazdko i pielęgnować w niem swe młode.

Na drugą noc wilki znów tu szukały zdobyczy. Wombat, jednak zamiast jęków ich ofiar usłyszał dwa wystrzały, które obwieściły cichej dolinie zgon drapieżników z ręki człowieka.

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

— Tak? — zadziwił się p. Tadeusz — on więc osobnego używa pisma? Skądże ty je znasz?

— Używa kilku osobnych węzłów oznaczających pochodzenie jego i władzę... Nauczył mnie ich... wie pan kiedy, p. Tadeuszu? Wtedy, kiedyśmy to oglądali w świątyni owę płytę zamykającą grobowiec żywcem pogrzebionych. Ja wtedy pytałem niepotrzebnie, Benito pogniewał się na mnie, a potem gdyśmy się przeprosili, nauczył mnie tego węzła, mówiąc: „Jakby kiedy królewiczek był w niebezpieczeństwie, pomocy potrzebował od naszych, to tylko znak taki zrobić... a w całej puszczy jak szeroka i długa, kto żyw na służbę mu stanie. Tylko da królewiczek słowo na trzy rzeczy i na Imię Boskie mi przysięże, że słowa dotrzyma”. Naturalnie przysięgłem, a on też sobie zastrzegł: że takiego węzła nie pokażę nikomu,



Nocna niespodzianka.

że nie zdradzę się z jego znajomością przed nikim, chyba tylko przed ojcem i przed p. Tadeuszem i że użyję go tylko w bardzo już groźnym niebezpieczeństwie dla ratowania ojca, Luci, p. Tadeusza lub siebie... Jakem więc zobaczył ten węzeł, zaraz duch we mnie wstąpił... no! i potem dobrze już było, bośmy się zawsze porozumiewali. Patrizios ciągnęli gromadą czasem w killkanaście koni, czasem więcej, Benito przemykał się sam jeden, zawsze ich wyprzedzał na noclegu i zawsze dał mi znak jakiś, który mi dodawał odwagi. Aż

pewnego dnia posłyszałem gdzieś daleko w gęstwinie odzew „chachalaka”... Tak to gdzieś daleko się rozlegało, że nie byłem pewien, czy to papug wołanie, czy Lakondonów, ale aż serce biło we mnie z niepokoju... A nuż oni? myślę sobie... jeżeli oni, to mnie lada chwila odbiją!... Tymczasem nadszliśmy na nocleg do jakiejś fondy, gdzie mnie zaraz w szopie zamknięto i strażą obstawiono... Benita ani widać, ani słychać, ani na lekarstwo. O! myślę sobie... źle! okropnie na humorze straciłem... Aż tu nazajutrz ledwieśmy w dro-

gę ruszyli, widzę, wisi na drzewie pęk tych jagód, co to je noszą wodzowie Lakondonów, wisi mi tuż nad głową, przymocowany wicią do gałęzi. Dobry znak! nie rozumiałem tylko dlaczego tak ociągają z odsieczą, bo i ten dzień i drugi upłynął spokojnie... Patrizios'ów nikt nie zaczepiał... jechaliśmy sobie wolno jakby spacerem... i tak trzy dni upłynęło... Co wieczór wprawdzie zastawałem przygotowane przez Benita węzły, ale tak dużo ich było i tak rozmaitych, że nie wszystkich znaczenie rozumiałem... A tu, jak na złość, słyszę jak się namawiają Patrizios, że pójdą znowu w głąb puszczy, bo tu na skraju, gdzie więcej uczęszczana droga, obawiają się spotkania z żandarmami. Znowu mnie smutek napadł! tem gorsza, że naprawdę zawróciliśmy w głąb, w taką gestwinę że indyjskim szlakiem ledwo przesuwać się można. Wzięli mnie w środek i przewiązali wespół mocnym rzemieniem: ten co jechał na przodzie umocował sobie koniec rzemienia do pasa, ten co z tyłu jechał wziął drugi koniec, a z boku widać nie spodziewali się napaści...

— W kluby cię wzięli, chłopcze! — z uśmiechem zauważył p. Walery, pieścizotliwie kładąc rękę na potarganej głowie jedynaka, którą gdyby ujrzała w tym stanie miss Oliwia, sponsowałaby cała z oburzenia.

— Jeszcze w jakie! — wesoło odparł Józio, wbrew amerykańskim zwyczajom całując ojca w rękę — nigdy w życiu nie byłem w takich. Jedziemy... jedziemy... jakoś mi coraz bardziej marketno... dopiero gdyśmy przystanęli przecekać skwar południowy, patrzę... są węzły! tuż nad głową naczelnika bandy się kołyszą, a ten osieł patrzy i powiada: A to się poplątały gałęzie! jakby je kto umyślnie poprzewiazywał! Przyglądam się... wyraz doskonale mi znany: *nogi*. Hm! nogi? po co tu nogi? Zalatuje mnie jakiś ostry zapach, szukam co tu tak mocną woń wydaje i znajduję cały pęk liści, których nigdy jeszcze w życiu nie widziałem... Związane wicią a na końcach jej znowu węzły: *nogi*. Domyśliłem się teraz, że temi liśćmi każe mi Benito okładać nogi i wiedziałem już poco. Pamięta ojciec, jak to kiedyś wzięci na rękawczy Indianie nie chcą przenieść się na dalszą wyznaczoną im polanę, oświadczyli że chodźć nie mogą, bo im się rany porobiły na nogach. a Juana, którą ojciec posłał do opatrzenia ran, powiedziała spojrzawszy na nie: „E! takie rany to w lesie rosną! dziś są, jutro ich niema!” Zrozumiałem więc że Benito potrzebuje, ażeby ja ran dostał na nogach... wziąłem tedy liście niby to dla ich zapachu i ledwośmy na nocleg przybyli, tak sumiennie pokładałem niemi nogi, że nazajutrz jedną były raną.

— Cóż na to Patrizios? — spytałi obaj słuchacze bez najmniejszego niepokoju o zdrowie Józia, bo obaj słyszeli o podstępnie którego nieraz używają krajowcy.

— Okropnie się zaturbowali... Zostawić mię nie chcieli, bo wciąż spodziewali się za mnie okupu, a prowadzić mnie dalej nie mogli... Wręcz powiedziałem, że kroku nie jestem w stanie postąpić... Co to za szczęście, że to takie osły! — dodał Józio z najgłębszym przekonaniem — ani im na myśl nie przyszło, że te straszne niby rany nic a nic mnie nie bolą! Jeden po drugim przychodzili patrzeć na nie, kiwali głowami, no! i ostatecznie przywódzca ich zdecydował, że ze dwa, ze trzy dni zatrzymać się musimy. Stałiśmy więc na miejscu onegdaj, stałiśmy wczoraj, kilku z nich poszło na polowanie, przynieśli zwierzyny, ugotowali wieczere... Wody tylko nam brakło, ta, którą piły konie, nieczysta jakaś i zielonawa, i nikt z nas jej nie tknął. Nad wieczorem dwóch Patrizios wysłanych po wodę znalazło na polanie w pobliżu dwie kalebasy pełne, czystej wody krynicznej i przynieśli je w tryumfie, ciesząc się, że obrabowali jakąś gromadkę ciągnących puszcza krajowców i dziwiąc się przy tem trochę, że tak w głąb puszczy znaleźli przygotowany już napój. Nie tknąłem go, bo zwykłym sposobem ostrzegł mnie Benito, że to woda nie dla mnie!...

— Jakto, zatruta? — wykrzyknęli ze zgrozą słuchający go mężczyźni.

— Nie wiem — z pewnym zmieszaniem odrzekł Józio — nie wiem... — Pewno nie! bo Benito uśmiechnął się tylko, gdy

ich dzisiaj zobaczył... Wiem tylko, że pijąc ją, narzekali na smak jej gorzkawy i nieprzyjemny.

Zajęci rozmową, nie uważali nasi znajomi, że Morill znikł z pomiędzy nich od dość dawna. Teraz zdaleka gdzieś dochodziło jego szczekanie, a po niedługiej chwili i on sam się ukazał, poprzedzając Benita obładowanego różną bronią. U wejścia na polanę przystanął obok Indyan, towarzyszących p. Waleremu, w kilku słowach dał im jakieś zlecenie, poczem mierzonym krokiem podszedł ku rozmawiającym i tak jakby się wczoraj z nimi rozstał, gardłowym, powolnym głosem swoim zagadnął:

— Ot! i jest Królewiczek z powrotem.

— Benito! — jednogłośnie zawołał p. Walery i p. Tadeusz — Benito!... Pocziwy, kochany Benito! Gdyby nie ty, nie wiadomo, czy mielibyśmy Józia.

— O! Królewiczek dzielny jest i odważny! — odparł Indianin z dumą i miłością spoglądając na swego ulubienca — dałby sobie i sam rady. Pomogłem trochę... to prawda!

— Cóżś zrobił Patrizios'om? — z ust wszystkich wyrwało się pytanie.

— A nic! Wody im dałem — z zimną krwią odpowiedział Benito. — Napili się do syta... no! i śpią teraz...

— Potrułeś ich?

— Wartoby, bo to łotry jakich mało. Ale nie... Pić tylko dostali... nie każda woda zdrowa... Wyśpią się i obudzą... nad ranem może albo jutro... A tymczasem broń im zabrałem i posłałem zabrać im konie... Uprowadzimy je z sobą luzem, to nam się zdadzą... broń także się przyda, a oni piechotą, niech sobie chodzą...

— Cóż przecie pić im dałeś? — zapytywał p. Tadeusz, ciekaw dowiedzieć się, jakim narkotykiem uspił Benito porwyców Józia.

— Albo to w puszczy mało ziela różnego? — wymijająco odparł Benito i szybkim krokiem posunął ku wracającym Indianom, z których każdy wiódł po parę koni. Policzono je: czternaście ich było; czternastu więc Patrizios rozbrojonych, do jutra snem sztucznym zdjętych leżało tam za drzew ścianą...

— Chodźmy ich zobaczyć, może się tam jeszcze co znajdzie? — zaproponował Indianin.

Ruszone więc ścieżyną świeżo wśród traw uatorowaną i o kilkaset kroków dziwno ujrano widok. Na polanie, w środku której tliły się jeszcze węglone głównie ogniska do wieczery rozpalonego, leżało nieruchomo czternaście barczystych, ogorzałych postaci, których rozrzucone postawy, rozpalone twarze świadczyły o niespokojnym, gorączkowym śnie, jakiemu poniewoli ulegli. Jedyną zdrową i przytomną istotą był koń Józia, trochę na uboczu uwiązany. Zaniepokojony uprowadzeniem towarzyszy, które go samotnym uczyniło, rżał on przeciągle raz po razie i teraz też rżeniem nadchodzących powitał.

Ze zdumieniem spoglądali nasi europejczycy na pokonanych krzywdzicieli swoich, podczas gdy Benito nachylił się nad każdym z nich, szukając czy nie zostawił przy którym rewolweru lub noża. Znalazł jeszcze rewolwer i dwa noże, zabrał je, złota, które kilku z nich miało nie tknął wcale i dokonawszy rewizyi, zwrócił się do p. Walerego.

— Skwar już minął; w drogę nam trzeba. Nim się te bestye pobudzą, my już będziemy daleko.

Ale tu niespodzianem wmieszaniem się do rozmowy wszystkich zadziwił Józio.

— Zostawiamy ich bez broni i bez żywności — zauważył to niesłuszne.

— Chciałby może królewiczek, żeby im jeszcze naboju dostarczyć? — z przekąsem spytał Benito.

— Nie, ale zostawimy im trochę żywności — stanowczym głosem rzekł Józio. — Nie godzi się skazywać ich na śmierć głodową. Byłem u nich w niewoli, to prawda, ale mi krzywdy nie zrobili... Zabieramy im broń, to słuszna, bo mamy prawo uczynić ich nieszkodliwymi, ale pozbawieni broni, nie sobie upolować nie potrafią, chleba z sobą nie mają,

a w tej części puszczy niema wcale owoców. Do najbliższej fondy ze cztery dni drogi... Tak się nie godzi? Prawda ojcze?

— Prawda, mój chłopcze — odparł p. Walery. — Żywnością, jaką mamy podzielimy się z nimi, ale i ja jestem zdania Benita, że w drogę ruszać trzeba. Kto wie? drugi ich udział jest tu może gdzie niedaleko... Prócz tego należy też dać znać władzy, gdzieśmy tych oto znaleźli... Ujęci być powinni i ukarani...

Widoczną było rzeczą, że jak rozkaz zostawienia żywności nie podobał się Indyanom, tak samo i Józiowi nie podobał się zamiar p. Walerego. Nie pora jednak było na dyskusję o tem, co jest obowiązkiem dla szanującego prawo obywatela, pośpiesznie więc oddzielono część zapasów żywności i w godzinę potem wszyscy już byli na koniach. Dziesięciu jeźdźców wiodło za sobą luzem czternaście koni, które żalosnym wzrokiem oglądały się za pozostawionymi w puszczy panami.

Wąskim jadąc szlakiem, nie mieli podróżni sposobności do rozmowy. Urywaniem tylko zdaniem, rzucaniem za siebie przez ramię, udzielał p. Walery synowi wiadomości o szczęśliwym przybyciu Luci do domu dziadków, o jej radości z poznania siostrzyczek, o postanowieniu Morilla, że do Guyany nie pojedzie, o wszystkim jednym słowem co zaszło w rodzinie od owej pamiętnej nocy.

Dopiero, gdy się na nocleg zatrzymała gromadka nasza, p. Walery zwrócił się do Benita z zapytaniem, jakim sposobem obezwładnił Patriziów.

Nie chciał z początku mówić Indyanin.

— E! co to gadać o tem — bronił się — Blade-Twarze zawsze chciwe gadania.

— Nie gadania — podchwycił p. Tadeusz — pragniemy tylko wiedzieć co zrobiłeś, aby sam jeden dać rady czterem. Widzieliśmy Lakondonów... wiemy że spotkali się z tobą... domyślamy się, że ich pomocy użyłeś, ale nie wiemy w czem ci mianowicie dopomogli.

— No! że dopomogli, to pewna — przyznał Benito — wierny to naród i jak raz komu się przychyli, to się już nigdy nie odwróci.

— Jakże się stało, że ich w puszczy spotkałeś? czy trafem, czyś też ich szukał?

— Szukał i nie szukał... Raz, drugi huknąłem na nich po lesie... odpowiedzieli, no! i przyszli... Mało ich było, dziesięciu tylko... ani myśleć uderzać na Patrizios, których szło kupą z trzydziestu przeszło, zresztą w przymierzu z nimi Kot-Dziki. Ha! nie można tak, to trzeba inaczej... Powiadam im: liści dajcie... Królewiczek rany mieć musi... Poszli, przynieśli, a wici rozwiesili po puszczy, żeby kto z naszych gdzie ciągnie, w gromadę zbierał się na Lakondonów. Jak na to odbiło się ich dwudziestu i boczną poszło drogą... Mówię ja tedy Szaremu-Wilczęciu: Z tymi co zostali, to już ja się sam załatwię. Przynieś mi tylko *assakù*.

— *Assakù*? Co to takiego? — ciekawie spytał p. Tadeusz?

— To nasze ziele... utrzcć na proszek liść suchy i wyspać do jedzenia, albo świeże liście w wodzie namoczyć, to zaraz moc z siebie puści... Kto jedzenia albo napoju skosztuje, no... pośpi sobie, poszaleje trochę, a jak nie za dużo kosztował, to i wyzdrowieje... Tylko z parę dni nogi będzie miał jak podcięte, a to właśnie dobrze... Tego nam trzeba...

— Jakiż miałeś zamiar czyniąc to? Nie mogłeś się przecie spodziewać, że nas spotkasz, w sam raz wtedy, kiedy pozbyłeś się Patrizios?

— Ma się rozumieć, że nie. Nie wiedziałem, że Morill prowadzi Blade-Twarze. A dobrze się stało, bo wiadomo, że w puszczy to lada zwierz więcej ma rozumu od Bladej-Twarzy...

Uśmiechnęli się panowie na ten komplement, a Benito prawil znown:

— Ale wiedziałem ja co zrobię. Jak się pośpią—myślałem—broń im odbiorę i zostawię gdzie w ostępie dla naszych

razem z końmi, a sami z Józiem na koń... i w drogę... W puszczy nie trudno się spotkać.

Mówił to takim tonem, jakby puszcza była prosto biegającym, wygodnie utorowanym gościńcem, na którym w dzień ani w nocy nie można się z nikim rozminąć nie zauważwszy jego obecności.

W samej rzeczy zdawać się mogło, że tak jest, bo zaraz nazajutrz rano, ciągnąc szerszym i bardziej uczęszczanym szlakiem spotkali nasi podróżni żandarmów. Józio, widocznie czujący jakąś słabość do bandytów, których poniewolnym był towarzyszem, chciał uprosić ojca, aby nie uwiadamił żandarmów gdzie znaleźć mogą „bezbронnych i chorych“ jak ich z pewnem współczuciem nazywał.

Ale p. Walery ani sobie mówić dał o tem. Podczas kilkotygodniowych poszukiwań Józia tyle się w każdej tundzie nasłuchał opowiadań o gwałtach i grabieżach dokonanych przez zuchwałych rabusiów, że uważałby sobie za uchybienie obowiązkom uczciwego człowieka, gdyby miejsce ich pobytu miał zataić. Skierował więc żandarmów ku polanie gdzie prawdopodobnie znajdowali się jeszcze Patrizios, prosząc wszakże, aby uwzględnili dobre obchodzenie się bandytów z Józiem i starali się wyjednać złagodzenie czekającej ich kary.

Krzywił się na to Józio, bo mu się potroszę zdawało, że skoro mając go w swej mocy, nie zrobili mu Patrizios nic złego, nie są przeto tyle winni, aby ich wydawać w ręce karzącej sprawiedliwości, i długą musiał z nim p. Tadeusz stoczyć dyskusję, zanim go przekonał, że bezpieczeństwo jednostek i cały porządek społeczny polegają na szanowaniu prawa i niepobłażaniu złemu bądź-to przez samolubne lenistwo, bądź-to przez słabość charakteru.

Józio słuchał uważnie, stawiając czasem argumentom nauczyciela zarzuty, które świadczyły że zdolny z natury jego umysł rozwinał się i nabył zdolności głębszego zastanawiania się nad wszystkim co godne uwagi.

W ogóle zmienił się on bardzo: ze swawolnego, roztrzępanego chłopca stał się już młodzieńcem myślącym i badawczo usposobionym, dzieckiem tylko pozostał w stosunku z Morillem, z którym po dawnemu pieścił się i swawolił.

Istotnie, rozrzewniającą było rzeczą patrzeć na tę głęboką radość, jaką przejmował Morilla powrót Józia. W drodze idąc tuż obok konia, na którym siedział młody pan jego, odwracał się od czasu do czasu i wyrazistym spojrzeniem opiekuńczego przywiązania spoglądał na Józia; na popasie, noclegu, trzymał się jak mógł najbliższej swego skarbu: to Józia liżał po twarzy, to wyciągnąwszy się na ziemi łeb mu na kolanach opierał i w oczy mu patrzył wymownie, to za nim usiadłszy kładł mu łeb na ramieniu, od czasu do czasu mokrym nosem trącając go w ucho. Wszystkie te pieczyoty hojnie odwzajemniał Józio: nie usiadł do posiłku, dopóki nie nakarmił Morilla, spać się nie położył, dopóki się nie przekonał czy Morill leży wygodnie, dopóki go nie pogłaskał, nie porozmawiał z nim, nie dał mu się polizać na dobranoc.

To też można sobie wyobrazić zmartwienie Józia a nawet wszystkich członków karawany, gdy na trzeci dzień po swoim powrocie zauważył, że Morill niedomaga. Jeść nie chciał, nos miał gorący, idąc przystawał często, lub nawet pokładał się chwilami, skomlał czasami żałośnie, zmieniony miał wyraz oczu, jednym słowem, widoczną było rzeczą, że mu coś dolega.

— Chory nasz „dowódzca“ — rzekł p. Tadeusz obejrzawszy czworonożnego pacyenta — stanowczo chory...

— Co mu jest drogi, kochany panie Tadeuszu, co Morillowi jest? — niespokojnie dopytywał Józio, wyciągnięty obok leżącego na ziemi Morilla. — Uczył się pan przecie medycyny...

— Coprawda, ludzi leczyć miałem, nie psy...

— Co to psy! Psy? Morill nie jest prosty pies! — oburzył się Józio — dużo ludzi głupszych jest i gorszych od niego...

— To prawda — przyświadczył p. Tadeusz — ja też

wcale nie mam zamiaru mu ubliżyć, ale z budowy swojej i cech fizycznych należy do rodzaju psiego, którego chorób leczyć się nie uczyłem.

— Niema co gadać „wiedzący” pies — wmieszał się do rozmowy Benito, dla którego, jak w ogóle u Indian, określenie „wiedzący” miało zawsze znaczenie dodatnie, a po części także tajemnicze. — Chory, to zaraz widać... Chory, bo za nadto wiedzący — sentencyjalnie dorzucił.

(d. c. n.)

PYTANIE.

Helenka zadziwiła raz młodszą siostrę następującem doświadczeniem.

— Patrz Jadziu — mówiła — mam tutaj krążek, który położę na pochylonej linii, a krążek zamiast stoczyć się z niej na stół, podaży w górę.

Jadzia знаła już prawo równowagi ciał, to też gdy ujrzała, że krążek Helenki zrobiony z korka ma w wydrążeniu mały śrótowy ciężarek, pomyślała chwilę i domyśliła się czemu to sam krążek w górę, a nie na dół biegnie.

Kto jeszcze rozwiąże to pytanie?

ZADANIE KONIKOWE.

ułożyła Malina z nad Wisły.

n	p	d	k	c	e	i	e
r	t	z	d	a	i	w	i
r	i	j	e	s	l	n	t
s	e	c	h	o	d	b	o
e	z	m	o	h	c	w	i
s	e	ą	i	o	n	j	e
e	a	j	n	p	k	e	y
W	ę	n	n	e	m	i	e

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Pierwsze spółnik, zaś *drugie* w mowie nie naszej.
Przed żeńskiem pospolitem bywa imieniem;
Trzecie zwierza głos; w puszczy lęklivych straszny,
Śmiałych także, bezbronnych, przejmując drzeniem.

Wszystko niegdyś Westgotów król i wódz razem,
Który naszedł Italię z rotą mnogimi,
Podwakroć całą niszcząc ogniem, żelazem,
Przewagą zdobył miasto sławne tej ziemi.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 48 go

LAMIGŁÓWKI.

1. Indus. 2. Kornet. 3. Rumunia. 4. Aurillac. 5. Sandwich. 6. Zgierz. 7. Essek. 8. Waterloo, 9. Schwerin. 10. Kuba. 11. Indur.

I. Kraszewski — Stach z Konar.

Niteczka Aryadny:

Jestem żwawę chłopię!
Śpię wybornie w szopie!
Chodzę z sierpem, z kosą
I skaczę, choć boso.
Nie znam co to kwasy,
Jakieś tam grymasy,
Pracuję od rana,
Nucąc: dana! dana!...

Ewa Marya.

Od Redakcyi „Kroniki Rodzinnej”

Przy kończącym się kwartale i roku nadmieniamy, że **KRONIKA RODZINNA** wychodzić będzie w roku przyszłym 1892, w tychże samych warunkach i kierunku. Rozszerzając dział „Ze świata wiedzy”, zapoznający z nowymi odkryciami i wynalazkami na polu naukowem, zamieszczać będziemy pogadanki pedagogiczne, sprawozdania z nowych dzieł wydawanych w kraju i zagranicą, wiadomości dotyczące praktycznego życia pracy, oraz kwestye ogólnego interesu. Dawać też będziemy stałe korespondencye zagraniczne, powieści oryginalne i wyborowe obce przekłady.

BŁAWATKI.

Kalendarz dla dzieci od lat 9 do 14 na rok 1892 nakładem księgarni p. Z. Guranowskiego przy ulicy Senatorskiej.

Wyszedł pod powyższym tytułem kalendarz dla dzieci pod redakcją znanego pedagoga H. Wernica i przy współpracownictwie znanych w piśmiennictwie osobistości, których same nazwiska równie jak i nazwisko redaktora są rękojmią wartości tej książki, mogącej stanowić piękny podarek kolendowy. Mieszczą się tu bowiem obok zwykłych kalendarzowych działów, powieści i opowiadania, udatne poezye, zadania do nagrody, zagadki i przeróżne zabawy.

Cena kalendarzyka kop. 50 z przesyłką pocztową kop. 65 dla prenumeratorów zaś „Wieczorów rodzinnych” za okazaniem kwitu prenumeracyjnego w księgarni p. Guranowskiego lub za pośrednictwem Redakcyi kop. 40, z przesyłką zaś pocztową 55 kop.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4_{k.10}, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5_{k.10} — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Zabawki naukowe (z drzew.) — List Józia. — Przed lat tysiącem (c. d.) — Nocna niespodzianka (z drzew.) — W dziewiczych lasach Ameryki (c. d.) — Pytanie, — Lamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Żeglarsz, wiersz p. T. P. (z drzew.) — Grzeczny Kazio p. H. Wernica. — Nieposłuszny wróbel p. A. M. — Polowanie Antosia p. Teresę Jadwigę. — Lamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

WIECZORY RODZINNE.



Żeglarz.

ŻEGLARZ.

Na morze ruszam sine!
W daleki świat popłynę,
Zwiedzę lądy i kraje,
Gdzie słońce wtedy wstaje
Gdy u nas mrok zapada...
Nowości dusza rada!
Choć wątłe statku ściany
Choć piętczą się bałwany,
Żeglarz nieustraszony
W dalekie płynie strony!
— Zabieram z sobą Manię,
Za gospodynię stanie.

Dodatek do N. 50, 1891 r.

Ludwisię także biore,
Przyda się może w porę,
Często się bowiem zdarza,
Że odzież marynarza
Bywa srodze podartą
Więc naprawić ją warto.
Janeczka zaś małego
Biorę z sobą dlatego,
Że niebyłoby komu
Bawić się z dzieckiem w domu,
Gdy ruszym wszystko troje.
Tego tylko się boję,
Czy radę sobie damy
Na okręcie bez mamy?

Choć ze mnie kawał zucha,
Jednak w mamie otucha
Co w złej chwili pokrzepi!
Mama radzi najlepiej...
Spytam mamy, czy mogę
Z rodzeństwem ruszyć w drogę?
W nieznaną płynąć stronę
Przez morze, przez zielone...

T. P.

Grzeczny Kazio.

Był to dzień mroźny ale bardzo pogodny. Kilkunastu chłopczyków zjeżdżało z góry na dół na małych saneczkach. Posuwali się kolejno jeden za drugim, lub obok siebie, jak wypadło. Śmiechy i żarciki nie ustawały, bo to jeden, to drugi wypadał z sanek i po śliskim lodzie zsuwał się na dół. Wszakże nie wiele sobie z tego robiąc, podnosił się, ciągnął za sobą saneczki, wchodził z drugiej strony na szczyt pagórka i znów zjeżdżał na dół.

Pomiędzy wesołą gromadką znajdował się mały Kazio. Był on najniezręczniejszy ze wszystkich, rzadko też kiedy udawała mu się przejażdżka. Zwyczajnie w polowie drogi wypadał z sanek, ale nic sobie z tego nie robiąc, otrząsał się ze śniegu i jechał dalej. A teraz, kiedy się podnosił z ziemi, saneczki na których jechał jego towarzysz tak silnie uderzyły go w nogi, iż powtórnie upadł i nos sobie skaleczył.

Może myślicie, że pobiegł do domu płacząc i krzycząc, aby się poskarżyć na niegrzecznego kolegę? Bynajmniej, odszedł na stronę, obmył śniegiem nosek i znów siadł do sanek; powiedział tylko chłopcu którego sanki go przewróciły, aby na drugi raz był ostrożniejszy.

H. Wernic.

NEPOSLUSZNY WRÓBEL.

Na dużej, rozłożystej lipie mieszkała cała rodzina wróbla w wygodnym gniazdku ulepionem z siana, ze słomy, z paków, o które postarał się pan wróbel, a które odpowiednio ułożyła, splątała i ugniotła pani wróblowa.

Lipa rosła tuż obok stodoly, na którą zawsze wróble z przyjemnością patrzyły, gdyż zwożono do niej smaczną pszenicę, za którą przepadała cała wróbla rodzina; oprócz bowiem rodziców, żyło w gniazdku troje wróbli, świeżo z jajka wyklutych, stąd jeszcze niedołączonych. Ani to piórek nie miało, ani nawet prosto główki na dłuższej szyjce utrzymać nie potrafiło. Całymi dniami spały wróble w gnieździe, budził je tylko powrót rodziców, z których każde to jakiś owad, to smaczne ziarno lub jagodę dzieciom przynosiło. Wtedy dzieci otwierały szeroko dzioby i piszcząc jedno przez drugie do smacznych kąsków dostać się chciało.

— Poczekajcie, nie kręćcie się tak — upominała matka — każde z was dostanie co mu się należy.

A gdy wróbleta piszczały dalej, świegotąła:

— A jakież to niegrzeczne dzieci! Zobaczycie, że oddam was na naukę do bociana.

— Nie! nie! nie! — ćwierkały pisklęta — my boimy się bociana; gdy nad naszym gniazdem przelatuje, ze strachu głowy pod skrzydło chowamy.

— Co wam tam mówić o skrzydłach! mruknął ojciec — nie potrafiłybyście nawet z gałęzi na gałąź przelecieć.

Pisklęta tymczasem ucichły, bo połykały smaczną wiśnię, i na drugą już miały apetyt.

Gdy się już pożywiły, jedno z piskląt, najsilniejsze, przez rodziców wróblikiem zwane, zapytało ojca:

— Dla czego to rodzice każą nam ciągle w gniazdku siedzieć. Już nam tu trochę ciasno i nudno.

— Bo jesteście jeszcze za małe abyście z nami fruwać mogły, skrzydła jeszcze macie słabe, gdy dorośniesz sam z gniazda was wyprowadzę. Teraz spadłybyście na ziemię i lada bury kot zdusiłby was i zjadł na śniadanie — odparł ojciec poważnie.

— Kot? Co to takiego?

Pisklęta nigdy kota nie widziały.

— Szczęście to wasze, że go nie znacie. Kot jest dużym zwierzęciem z tak ostremi paszurami, że każdego z was jedną łapą rozedrzeć może; w dzień śpi a w nocy wdrapuje się na drzewa i zjada takie małe jak wy ptaszki. Jest tu jeden kot w śpichlerzu, lecz zajęty łowieniem myszy, nas jeszcze nie wyśledził. Przytem pod lipą nocuje zwykle pies Rozbój...

— Ten straszny zwierz cały czarny — zawołało najmłodsze wróbletko. — Gdy zaszczeka aż gniazdo drży ze strachu, taki Rozbój ma gruby, donośny głos.

— A jednak to wasz obrońca, sprzymierzeniec, bo tak jak my niecierpi kotów, i gdyby się tylko który z nich tu pokazał, wnetby go wypędził lub rozszarpał — mówił ojciec.

— I długo my tutaj w gnieździe jeszcze siedzieć będziemy? — pytał wróbel trochę nadąsany.

— Może tydzień, może dłużej. Zobaczymy. No! a teraz dzieci siedzieć spokojnie, i czekać na nasz powrót — rzekła matka.

Pisklęta zaczęły na pożegnanie, a gdy odlecieli rodzice, niespokojny wróbel wnet począł piąć się na brzeg gniazda, by lepiej przyjrzeć się szerokiemu światu. Lecz liście widok mu zasłaniały. A tymczasem brat jego wróblek i siostra wróbliczka narzekały na niesfornego ptaszka.

— Depcesz nas, gniesz — ćwierkały — mamy nie słuchasz, zobaczysz, że spotka cię jakie nieszczęście. Kot cię dojrzy i schrupie; wróbliku, nie wychylaj się tak za brzeg gniazda.

— Co mi tam! — kręcił główką wróbel. — Ot, widzę tuż koło drzewa kilka ziarenek pszenicy; ach! tam na krzaku widzę jakieś czerwone jagody, jakie smaczne być muszą!

Wróbel wychylał się coraz bardziej, aż przestraszona wróbliczka pochwyciła go dziobkiem za skrzydło.

POLOWANIE ANTOSIA.

przez

TERESĘ JADWIGĘ.

— Cóż to za nieproszona opieka! — rozgniewał się i dziobnął w głowę troskliwą siostrę.

Zapiszczała z bólu i cofnęła się, a wróblík korzystając ze swobody, począł po brzegu gniazdka spacerować; trzepotał przytem skrzydełkami jak gdyby pragnął wypróbować, czy już są do lotu zdolne.

— Doprawdy mam ochotę — mówił — sprawić rodzicom niespodziankę i nie czekając końca długiego tygodnia, wyfrunąć dziś jeszcze.

— Nie, wróblíku — brat się odezwał — nie zrobisz tego, bo wiesz, że dzieci zawsze powinny rodziców słuchać; rodzice jako starsi wiedzą dobrze co jest dla nas złe a co dobre.

— Ale rodzice nie wiedzą jaki ja jestem silny — upierał się wróblík i raptem:

— Do widzenia! — zawołał i chciał sfrunąć z gniazda.

Lecz na nieszczęście, zamiast ulecieć w górę, spadł trzepocąc skrzydełkami na ziemię.

W gnieździe rozległ się pisk rozpaczliwy pozostałych w nim wróbelków. Wróblík wtórował im na całe gardło, nie mógł się ruszyć, skrzydełko lewe bardzo go bolało. Wtem jakiś sąsiad wróbel usłyszał ten cały lament, zajrzał do gniazda, ujrzał leżącego koło lipy podróznika i szybko pofrunął, a w kilka minut później powracał w towarzystwie jego rodziców. Cwierkot wzmógł się jeszcze. Poskoczyli rodzice do nieposłusznego dziecka.

— Prędzój, prędzój — radził wróbel sąsiad — do gniazda go wnieście, zanim Rozbój tu przyleci.

To też ojciec ujął pisklę dziobem za zdrowe skrzydełko, matka zaś rozpostarła pod nim skrzydła i dźwignęli go w górę. Z trudem wielkim przyfrunęli do gniazda; wróblík jęcząc położył się w niem a rodzice zmęczeni odpoczywali na gałęzi.

— Jakim sposobem wróblík wyleciał z gniazda? — zapytał wreszcie ojciec.

Wróblíčka opowiedziała rodzicom rzecz całą.

Matka zaś przysunęła się do nieposłusznego pisklęcia i obejrzała je starannie.

— Skrzydełko masz chyba złamane, mój biedny wróblíku, i jakże ty teraz fruwać będziesz? — zawołała. — Sąsiedzie wróblu, proszę cię, obejrzyj go. Ty przecież jesteś medykiem z zawodu.

Sąsiad wróbel poważnie zbadał pacyenta i zawyrokował, że skrzydełko jest całe, lecz ścięgną skutkiem uderzenia obolałe, lękał się też zapalenia stawów dla wróblíka, wstrząśnienia mózgu, kazał mu leżeć spokojnie i karmić się tylko przez całe trzy dni posilnemi liszkami. Wróblík leżał teraz cichutko i przyrzekał we wszystkim słuchać rady doktora.

W tydzień później leżał jeszcze w gnieździe a jego rodzeństwo poraz pierwszy wyfrunęło wraz z rodzicami.

Siostra przyniosła mu smaczną jagódkę z wyprawy, lecz patrzyła na brata takim wzrokiem jak gdyby powiedziec mu chciała:

— A widzisz, braciszku, jak to źle być nieposłusznym!

Ojciec Antosia często chodził na polowanie. Miał on pięknego wyżła, który towarzyszył mu zawsze w wyprawach myśliwskich, pies ten nazywał się Zagraj, był bardzo rozumny i wierny. Gdy np. pan jego wróciwszy do domu spostrzegł, iż zapomniał gdzie w lesie torby myśliwskiej, lub chustkę do nosa i zawołał:

— Zagraj! zgubiłem, idź szukaj.

Pies biegł natychmiast do lasu z powrotem i póty szukał, póki nie znalazł, a potem w radosnych podskokach zgubił panu przynosił.

Skoro ojciec Antosia był chory, to Zagraj leżał przy jego łóżku cały dzień, nawet jedzeniem wywabić nie można go było do drugiego pokoju, jeść nic nie chciał, wpatrywał się tylko niespokojnie w pana. Ojciec Antosia lubił bardzo Zagraja i nazywał: „swoim przyjacielem“, lubili też w domu poczciwego psa, babunia, matka Antosia, nauczyciel jego i służba, i słowem wszyscy.

Pewnego dnia rodzice Antosia wyjechali na cały dzień z domu, chłopczyk został tylko pod opieką babki, gdyż nauczyciel także pojechał. Cały ranek Antoś spędził z babunią, czytał jej, rozmawiał z nią i czas prędko mu upłynął, po obiedzie babunia jak zwykle oddaliła się do swego pokoju, by zasnąć trochę, chłopczyk nudził się sam, więc poszedł do Zagraja, który leżał w pokoju ojca i począł się z nim bawić, wtem spostrzegł na ścianie strzelbę wiszącą, i oczy mu błysnęły radością.

— Wiem teraz, jak się zabawię—pomyślał i pobiegł do kuchni.

— Jurku! — zawołał:

Jurek był to chłopiec do posług.

— Co paniczu? — rzekł stając przed Antosiem.

— Czy umiesz strzelać?

— Umie — odparł Jurek.

— A nabić strzelbę potrafisz?

— A jakże.

— To pójdziemy na polowanie.

Jurkowi zaśmiały się oczy.

— A strzelba jest? — zapytał.

— Zaraz będzie.

To powiedziawszy Antoś pobiegł do pokoju ojca i zdjął strzelbę ze ściany.

W tejże samej chwili poczuł wyraźnie że źle czyni, bo ojciec mu strzelby ruszać nie pozwalał... Ale przemogła pokusa i chłopcy wysunęli się cichaczem z domu, by babuni nie zbudzić. Zagraj biegł przed nimi wesoło, oni naradzali się, gdzie iść. Antoś słyszał, jak ojciec rano mówił, że pod lasem widział stado kuropatw, tam więc iść postanowił, las był niedaleko, doszli więc wkrótce.

— Zanim kuropatwy się ukażą, naucz mnie strzelać — rzekł Antoś do Jurka.

SZARADA.

ułożył Jaśko Warszawiak.

Pierwsze wykrzyknik, gdy się ktoś zdziwi,
A rzeką w Azyi jest drugie i trzecie,
Wszystko odnaleść już rzecz nie trudna,
Bo to imię nadane niejednej kobiecie.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

1. Spółgłoska.
2. Roślina z rodziny krzyżowych, kwitnie wcześniej, woń ma miłą.
3. Jezioro w Szwecyi.
4.
5. Roślina gospodarska należąca do rodzaju rdestu.
6. Miasto w Belgii, gdzie sławne źródło mineralne.
7. Samogłoska.

Środkowy rząd i środkowe litery powinny utworzyć imię kobiety słynnej w starożytności z kapryśków i złośliwości.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 48-go.

Homonimu: Pług.

Łamigłówni sylabowej:

1. Madryt. 2. Asturya. 3. Rzym. 4. York. 5. San.
 6. Inna. 7. Erfurt. 8. Neapol. 9. Kassel. 10. Alzacya.
- Marysiénka.

Skrzynka do listów.

Miernocie wieszujemy tak odpowiedniego dla starszej siostry zajęcia i pewni jesteśmy że w owocach swej pracy znajdzie najmiłszą nagrodę. Polecamy praktyczny podręcznik gramatyki ks. W. Cz. wydany w Petersburgu. Tłómaczenia są gładkie lecz nie mamy na nie miejsca, mając mnóstwo oryginalnych utworów tego rodzaju. Liścik i łamigłównę umieścimy wedle możności.

Serdecznie się cieszymy, że **Prawda** kochana, dawna korespondentka i przyjaciółka nasza, doszła do celu swych pragnień. Daj ci Boże wszystko najlepsze, dziewczeczko droga; macierzyńskie przeżegnanie posyłamy ci na nową drogę z prośbą, by zawsze w sercu dorosłej znalazło się miejsce dla tych, których kochałaś dzieckiem będąc. Żądane numera już raz wystaliśmy; obecnie posyłamy je powtórnie.

Nie uszło naszej uwagi, że **Sarenka lubelska** nie używa wcale praw, które jej przysługują jako korespondentce; rzadko nawet do nas pisuje. Dlaczego to Sarenka nie zgłosi się po swoją nagrodę? Sądziłiśmy, że ci ona przyjemność sprawi.

Z korespondency inaszych młodych czytelników widzimy, że wieść o rozbiciu się **Narocyza**, o smutnym losie **Janka wywołała** w nich żywe współczucie. Zdaje nam się — o ile my wiedzieć możemy, że przypuszczenie **Brzozy z gajów** jest trafne.

Dobrze „myślisz” **Pawie piórko**; przyjmujemy cię chętnie do coraz liczniejszej gromadki korespondentów, którzy radują serca nasze zaufaniem życzliwym z jakim się do nas odzywają.

Jakże nam miło **Janiu Ro.**, że was takie drobnostki uszczę-

śliwili! Nie czytaliśmy jeszcze odpowiedzi na zadanie konkursowe, ale... może się znowu znajdzie powód do uszczęśliwienia tak ciebie, jak i małego braciszka **Prymulki**, za którym siostra się wstawia prosząc, abyśmy nie byli dla niego „zbyt surowi”.

Prymulko, Rozumiemy co chcesz powiedzieć, ale i w tym nawet serdecznym zarzucie mylisz się, kandydatko na staruszkę. Sercem i myślą towarzyszymy zawsze długoletnim naszym korespondentkom, a i one—choć staruszki—nie roztają się z nami: często odzywają się do nas, na co zawsze odpowiadamy słowem przyjaznym, nigdy się nie gniewając za długość listu. O liściku będziemy pamiętali.

Czy masz rodzeństwo, miła **Macierzanko**? Wieleśmy słyzały o tobie, Szary Wróblu, od **Biedronki Warszawskiej**. Powiedziała nam, że na imię ci **Broncia** że doskonale się uczysz i że jesteś najlepszą w świecie dziewczynką. Ciebie znamy z widzenia, **Ciecioreczko**. Gdzie mieszkacie, **Podrózniczko** i **Igielko Sosnowa**? Pozdrawiam was wraz z małą **Tunguzką**, do której napiszemy od dzielnie. **Kingę**, **Góralkę** i **Czteroooczkę** pozdrawiają **Stokrotka polna** i **Sarenka Modrooka**.

Kochane siostrzyczki — staruszki! zechciecie mnie przyjąć do waszego grona. Niezapominajko z nad **Warty**! Wybacz że tak długo do ciebie nie pisała. Wakacje spędziłam wesoło w domu. Najlepiej lubię nauki przyrodnicze i muzykę, **Brunetko**! W **Wieczorach** najlepiej mi się podobało „Z wyspy **Atlanty**”. Pokrzywo, mieszkam na wsi, lubię pisywać do was, a nadewszystko czytać. **Trójkolorowa Koteczko**! Zaczęłam 16 wiosnę, (a raczej 16 jesień) na imię mi **Aniela**. Zasyłam wam serdeczne pozdrowienia **Horpyna**.

Niech która z was, kochane panienki, zechce do mnie napisać. Na imię mi **Marylka**, mam 8 lat, chodzę na pensję. Pewnie są między wami dziewczynki w moim wieku? Pozdrawiam was serdecznie podpisując się jak mię żartobliwie nazywają w domu: **Mała królowa**.

Kochana **Córo**! Donieś mi, gdzie mieszkasz i jak się nazywasz? Ja mieszkam w **Wodoktach**, nazywam się **Aleksandra B.** Więcej dowiesz się o mnie z listu do **Królowy Salin** w Nr. 30. Twoja **Li...ka**.

Drogie siostrzyczki: **Ułanko**, **Brzydotka**, **Wróźbiarko Szcześcia**, **Kuropatewko** z **Ikopetiu** i **Trójkolorowa Koteczko**! Czy mię pamiętasz **Ułanko**? Ja zawsze mile wspominam godzinę razem spędzoną. **Brzydotka** luba, pisujemy do siebie i nadal gdyż czuję do ciebie wielką sympatyę. **Koteczko** miła, donieś mi co o sobie. **Kuropatewko** droga! Szkoda że się poznać nie możemy. **Wróźbiarko** miłutka, twój liścik ucieszył mię, gdyż oddawna cię polubiłam. Czy chcesz do mnie pisywać? Szczegóły o mnie znajdziesz w Nr. 28 r. b. Pozdrawiam was serdecznie moje siostrzyczki **Chmurka złocista**

Kochana **Macierzanko**! Na imię mi **Bronia**, mieszkam na wsi, uczę się w domu przy starszej siostrze. A ty gdzie się uczysz? Czy masz rodzeństwo? O jaką **Marysiénkę** zapytujesz mnie? Twoja **Kampanella** Nr. 2.

Drogie moje: **Figlarko**, **Rosiczko** z nad **Rowu**, **Rumiane Jabłuszko** i **Gałązko Heliotropu**. **Miłutka Macierzanko** odpowiedź twoja bardzo mnie ucieszyła. Donieś mi, co ci się w **Wieczorach** najwięcej podoba i czy lubisz ślizgawkę. **Gałązko Heliotropu**, napisz do mnie. **Rosiczko** z nad **Rowu** i **Rumiane Jabłuszko** pozdrawiam i radabym się poznać z niemi przez nasze **Wieczory**. **Figlarko** droga proszę o odpowiedź na list mój. **Jagódka** z pod **Arkadyi**.

Kochana **Ślizgawko**! Nazywasz się **Genia N.** mieszkasz w **Gar....** i jesteś moją krewną. Ja mam lat 14, twoja siostrzyczka **Lampa Błyskawiczna** jest moją imienniczką. Czy jak ja lubisz się ślizgać? Ty zaś droga **Zielona Jodelko**, jesteś **Rózią S.** i znasz mię bardzo dobrze. Zgadnijcie kto jestem i odpiszcie waszej **M...**